



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Jak człowiek, któremu od długiego czasu odmówiono pokarmu, rzuca się skwapliwie na parę okruchów pokazanego mu chleba, tak lud nasz,—posądzany przez wielu o lenistwo umysłowe—rzucił się do książek, w które zaopatrzyły go nowożytne czytelnie.

Dochodzące nas zewsząd wiadomości brzmią nader pomyślnie.

Praca przy roli, troska o chleb powszedni, ta cała proza życia, w której się gmin siermiężny obraca—nie mogły przytłumić tej iskry bożej, złożonej w duszy każdego człowieka, tego parcia się do światła, które jest potrzebą każdej zdrowej jednostki. Ci, którzy zajrzeli nieraz do chat kmiecych, do tej wielkiej gromady ludzi, żyjącej z dnia na dzień, częstokroć brudnej i odartej, zapijającej „robaka“ w karczmie przydrożnej—wiedzą, że owym „robakiem“ niekoniecznie jest niedola chłopska, spowodowana bądź to nieurodzajem, bądź nieszczęśliwym pożyciem domowym lub innym jakim wypadkiem, albowiem nieraz i grosz gotowy w kalecie się znajdzie i gospodyni niczem męża swojego nie skrzywdzi, a dziatwa rośnie zdrowo; jednak, mimo to wszystko, chłop czasem ziewnie i wyciągnie się jakby z nudów, przemówi słów parę do żony, dziecko popieści, zapatrzy się przed siebie i krokiem powolnym, ociężałym—do karczmy pójdzie.

Co go tam gna? robaka jakiego ma do zapicia?

Spytajcie psychologa, a na odpowiedź nie każe on wam czekać:

Robakiem tym jest czechość duszy, ta pustka wewnętrzna, to nieświadome pragnienie czegoś, tajemnicze wołanie istoty duchowej, dążącej bezwiednie do rozszerzenia widnokręgu dalej nieco niż sięgają opłotki chałupy kmiecej.—Długo trwający głód duszy zaspokojony być powinien i gdy się tylko ku temu sposobność nadarzy nie potrzeba przemocy ani przekonywań usilnych o konieczności czytania—chłop do rąk sam książkę weźmie, a weźmie z łapczywością wygłodniałego zwierzęcia, dbać jeno potrzeba, by pokarm był strawny i szedł na pożytek duszy.

Oszukali się ci, którzy myśleli, że chłopą kijem do książki napędzać trzeba będzie. Co innego mówią fakty, a mówiąc dodatnio, szeroki horyzont działań rozwijają przed nami.

Już takie wydawnictwo trylogji Sienkiewiczowskiej, która w niejednej chałupie kmiecej się znalazła, przekonało nas, że umysł prostaczy książka zająć potrafi. Mało go obchodziły dzieje narodu, zupełnie nieznane, lecz bajka misterna zajęła, zainteresowała płatanina wypadków, potężni ludzie potężne uczynili wrażenie. Wiemy o jednej wsi w Kutnowskim, gdzie owo arcydzieło Sienkiewicza przechodziło z rąk do rąk. Dowcipy Zagłoby nie były, bo nie mogły być zrozumiane należycie, fabuła romansowa przeszła bez wrażenia, bo chłop w miłości się nie bawi, wybuchy zaś namiętności gwałtownej zawieliły są dla sere spokojnie bijących, ale rycerskość Skrzetuskiego poruszyła umysły, śmierć zaś męczeńska Podbięty nastroiła wprost do ekstazy uczucia religijne.

Jesteśmy w domu:

Religia—to opoka, na której opierać się powinno umysłowe wychowanie ludu. W niej jest siła niespożyta, której moc żadna nie złamie, po którą sięgająca dłoń każda świętokradzką a burzącą gmach przyszłości dłonią będzie.

Męczeństwo Podbięty przypominało czytelnikom wiejskim śmierć Ś. Sebastjana, który

poległ włóczniami przebity. To też za duszę ś. p. Podbięty z Myszykisków posypały się grosze do skarbony kościelnej, niejedni dał na Mszę Świętą i za pana Skrzetuskiego, ale Longinus miał stokroć więcej wielbicieli. Lud więc sam przemówił, czego chce i jakiej, w danej chwili, lektury potrzebuje.

Otwierane obecnie we wsiach i osadach czytelnie, potwierdzają to, cośmy wyżej powiedzieli. Z chciwością dziecka, biegnącego po łakocie, lud wyciągał ręce do książek, które mu, jak w Tarcynie, w d. 28 z. m. udzielono. W wielu miejscowościach popyt był tak wielki, że książek zabrakło, a nasamprzód rozchwytywano dziełka treści religijnej, następnie beletrystyczne i historyczne, później mówiące o higienie ludowej, na ostatnim, w braku innych, brano książki traktujące o gospodarstwie domowym. Jakkolwiek i tu zdarzały się niespodzianki. Gdy np. w Tuszynie dział gospodarczy nie miał zupełnie powodzenia, w Bielawach, w powiecie łowickim, po książkach religijnych, gospodarze cieszyli się niezwykłym powodzeniem.

Niema więc obawy o zamilowanie ludu do czytania, potrzeba teraz, by mu tylko książek nie zbrakło. Jakże one być mają, lud sam się już wypowiedział.

Otwiera się więc wdzięczne pole dla pisarzy i obywatelska zasługa. Dotąd, mało u nas pisało dla ludu, teraz już mamy furteczkę otwartą, przez którą wprowadzić potrzeba powietrze ożywe, przesiąknięte wonią kwieciami niw rodzinnych.

Nie powiemy, ażebyśmy nie czuli obawy pewnej, myśląc o tych przyszłych pracownikach, czy pisarzach dla ludu. Niejedni z piszących—(nie chcę powiedzieć każdy prawie)—skrzywi się na myśl pracy podobnej, zbyt zacieśniającej horyzont jego marzeń.—Ale upewniamy owych przyszłych Sienkiewiczów, że jeżeli jest nie ła-two „Ogniem i mieczem“ napisać—nie mały też

potrzeba mieć talent, by dobrą książkę opracować dla chłopca.

A zasługa?

Pomyślcie o tem — tylko dobrze pomyślcie, a już odpowiedź sama na myśl się wam nawinie. Lecz przypuśćmy, że pisarze są, — czy znajdują się wydawcy? — Książka musi być tania, autor wynagrodzony, wynagrodzony też sownie i nakładca. Jaki będzie zysk z tego?

U nas mało jest księgarzy, którzyby zaprowadzili umiejętnie kolporteryę. A jednak, przy rozszerzeniu się czytelnictwa w massach, kolporterya nieobliczony pożytek przynieść może. Autor zyska, lud równie, a i nakładca trzosem pobrzęknie, choć po pięć kopiejek książeczkę sprzedawać będzie.

Jak to jednak jest dobrze, że u nas nie bywa trzęsienia ziemi. Mówią wprawdzie bardzo starzy ludzie, że za ich czasów ziemia się trzęsła; wskazywało im to: cichutki brzęk szklanek w szafie kredensowej, zatrzymanie się zegarowego wahadła, albo lekkie zakolysanie się lampy. Lecz gdyby, ot tak, jak w Ameryce na przykład, lub w państwie Mikada ziemia sobie na dobre potańczyć i u nas zechciała — nie jestem pewny, czy wtedy coby jedna z kamienic warszawskich ze swoich podwalin nie zeszała.

Dlaczego? — spytacie, szanowni czytelnicy.

A to dlatego, że u nas i bez tych karnawałowych zachcianek wałą się poczciwe mury kamienic. Panowie budowniczowie widocznie są tego zdania, że — ponieważ na świecie śmierć wszystko zmiecie; że — czy wcześniej czy później wszystko ma swój koniec — miałyby odrębny przywilej domy warszawskie i trwałością swoją egipskim piramidom wyrównywały?

Nieuzasadniona pretensya!

A jeżeliby, kto powiedział, że przynajmniej choć przez ów wiek mogłyby powstać, na to filozoficzna odpowiedź się znajdzie: co znaczy dwadzieścia pięć lat w porównaniu z wiecznością? czy wiek nawet, z tym zamiarem nie jest nieznaczającą kroplą w morzu? A powiedziasz tak, nie tylko już po latach paru stania robią się rysy w ścianach, mówiące o tej znikomości rzeczy ludzkich, ale wałą się zaledwie wzniesione mury, jak to się stało niedawno przy ulicy Stalowej na Pradze. — Kiedy nie kiedy komisya budowlana musi z obowiązku to tam spojrzeć, to tam zajrzeć, bo oto na Gęszej sufit się zawalił, na Franciszkańskiej ściana jakaś wyjrzała ciekawie na ulicę, na Królewskiej, w gmachu wspianym wznoszonym naprzeciw ogrodu Saskiego, oficyny wymówiły równowadze posłuszeństwo i wprawiły w zdziwienie pion, nie lubiący linii fantastycznych. A co by to było, gdyby ziemia zatrzęsała się sobie zechciała? Zastanów się nad tem, kochana Warszavo, bo — a nuż...?

Coś też popsulo się i w państwie kolejowem i to w dziwny się sposób popsulo się. Bo, mosty się nie wałą, nasypów woda nie podmywa, lokomotywy naprzeciw siebie nie tańczą kontredansa, mimo to wagony się tłuką, jakby czuły się w obowiązku przyczynienia się do zmniejszenia ludności.

W dwóch ostatnich wypadkach, o których doniosły gazety — jeden w Tłuszczu — kolej petersburska, drugi pod Częstochową — kolej wiedeńska: dziwny wyścig urządziły sobie lokomotywy. Pociągi się nie zetknęły, lecz w obu tych wypadkach, jeden drugiego doznał i całą siłą grzmotnął poprzednika. Kilkunastu ludzi zabitych, parę dziesiątków okaleczonych, zgniecione piersi, pogruchotane nogi i łby porozbijane — oto rezultat porządków kolejowych, które — pomimo zwiększonego ruchu nie powiększyły personalu służby. Tak przynajmniej mówią dzienniki. Oczywiście, że poszkodowane rodziny ludzi biednych otrzymają wynagrodzenie pieniężne, lecz o ile to pozostałym leż gorzkich nie otrze, umarłym do zbawienia nie przyczyni się, o tyle dla żyjących nie będzie wielką zachętą do kładzenia zdrowej głowy pod ewangelię, czyli — powierzenia całości swych osób zmęczonym maszynistom, sennym konduktorom i zwrotniczym opuszczającym swój posterunek dla zarobku przy noszeniu pakunków podróżnych.

Przechodząc ulice Warszawy, dziwny widok uderza w oczy ludzi nieświadomych rzeczy. Prawie w każdym wystawowym oknie sklepów pomniejszych, przez szyby patrzają ku nam bladobłękitne papierki, na których odczytujemy napis:

Bilet klasy piątej.

Jeżeli wierzysz w szczęście, w uśmiech losu ci łaskawego — wejdź, kup ów bladobłękitny bilecik i ciesz się nadzieją wygrania 75,000 rs. Nim wejdiesz jednak, przypatrujesz się owym kartkom patrzącym na ciebie i rzucasz w myśli swej takie pytanie:

— Co to jest?... Przed ciągnięciem pierwszej klasy, chciałem i ja nabyć dla siebie, ot, tylko małą ćwiartkę biletu. Chodziłem od kolektora do kolektora i w żaden sposób dostać tego zapachu szczęścia nie mogłem. Przy drugim ciągnięciu było tak samo, — aż oto, jak grzyby po deszczu, wysypały się teraz poszukiwane bilety.

Sprawa prowadzenia niemi handelku była już nieraz poruszana w dziennikarstwie naszym, — porobiły się niby jakieś udogodnienia, lecz wszystko na nic się nie zdało. Ty, skromny człowiecze, ćwiartki marnej dostać nie mogłeś, lecz aferażyści po losów kilka całkowitych zdobyć umieli, grali przez cztery ciągnięcia, dopiero gdy przy końcu loteryi los odwrócił się od nich, pozwalają tobie zaskarbić łaski fortuny, i sprzedają ci niewdzięczne bilety, po cenie — oczywiście wyższej nad normę. Bierz tedy, co im z nosa spadło; na dwoje babka wrożyła: możesz wygrać lub przegrać — (to ostatnie pewniejsze) — ale nabywca losów do pierwszej klasy — zawsze jest w zysku.

Na czem skończyć pogawędkę dzisiejszą?

A oczywiście, że na panu Wawelbergu. Niepewne są kamiennice warszawskie, niepewna jazda koleją, niepewny bilet loteryjny, lecz pewna jest zawsze obywatelska ofiarnosć p. Wawelberga.

Oto, nakładem jego wyszło obecnie, czterotomowe wydawnictwo pism Bolesława Prusa, jako pamiątka jubileuszowa znakomitego pisarza. Oczywiście, że dochód z tej książki ma pójść na korzyść jubilata, a ogół czytający za rs. 1 kop. 40 dostanie cztery duże tomy dzieł Prusa, za dwa zaś ruble tę samą ilość tomów — w oprawie. — Któż nie kupi przezystej rudy złota za pieniądz tak marny; któż nie zechce powiększyć swej domowej biblioteki pracami pierwszorzędną wartości?

??

MATKA.

Jest jedno miano, które od kołyski
Dźwięczy nam w duszy, aż do dni ostatka,
Gdy serca nasze zatrwoży zgon blizki —
Mianem tem: matka.

O, słodkie, święte, o przezyste miano!
Tak wiecznie nowe, choć jak świat tak stare!
Streszczasz ty w sobie miłość nieskalaną,
Trudy, ofiarę...

Żadne tytuły, godności, znaczenia,
Twego uroku zastąpić nie mogą —
Wnosisz ty z sobą archanielskie pienia
W izbę ubogą...

Majestat Pański roztaczasz dokoła,
Przy dziwnej swojej prostocie, miękkości —
Na dźwięk twój — króle schylają swe czoła,
Kłękają prości...

Co na tej ziemi jest najwznioślejszego,
W przejawach życia, w dziejach, w pieśniach
[wieszczą —
Od śmiechu dziecka — do tchu ostatniego —
W tobie się streszcza.

Tyś hasłem życia, co się wciąż odradza,
I stare groby w świeże stroi ziele, —
Genezy świata sięga twoja władza,
Szlak jutra ściele.

W tobie nadziei spoczywa zadatek,
Do ciebie przyszłość prawa swoje rości —
Chłuba i duma wzrasta w łonie matek —
Szczęście ludzkości.

Przy końcu świata, gdy gruzy dokoła
Pierz ziemi spiętrzą, kwiecistą i gładką —
Ostatni człowiek, konając zawoła:
Gdzieżeś o, matko!...

Wiktor Dzierżanowski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Sośnicy spali snem głębokim, Janczewska w oddzielonej korytarzem kuchni pacierze szepotała, jedna tylko Helena mogłaby słyszeć słumiony okrzyk Jadwigi, której sypialnia z salonem się łączyła, ale tak była zajęta myślami swojemi, że gdyby grom siarczysty tuż u stóp jej się roztrzaskał, nie zwróciłaby i na to uwagi. Z brwią ściągniętą, krokami żołnierskimi przemierzała wzdłuż pokój. Nie spojrziała nawet na pościel, o rozbieraniu się nie myślała choć dawno było już po północy a kogut starej Marci zapiał dwukrotnie.

Helena chodziło szybko, niespokojne ruchy mówiły o jakiejś walce wewnętrznej, o czemś, co w tej chwili całą jej ogarnęło istotą. Podnosiła ręce do góry, czasem za włosy się targnęła, a wtedy krótkie: „a!“ wybiegało z jej piersi. Kilka razy siadała przy stole, z wydobytego z kieszeni notesu parę kartek wyrwała i ołówkiem kreśliła coś na nich.

— „Kochana Jadwisiu — było na jednej — musisz wiedzieć, że...“

Odrzuciła kartkę na stronę, na drugiej zaczęła pisać:

„Gdy do rąk ci wpadnie tych słów kilka, krwawy dramat rozegrany już będzie...“

— Głupio! — zawołała.

Podarła obie kartki i zaczęła znowu przechadzać się.

Zajęta trapiącą myślą jakąś, nie słyszała okrzyku Jadwigi, która po przejściu omdlenia, z głową rozbolełą i silnem drżeniem serca ułożyła się do snu.

Z powracającą pamięcią wróciła świadomość wypadku. Helena wyszła — Jadwiga została sama. Słowa o Pawle rzucone jej w ucho przez przyjaciółkę, miłość, o której wiedziała, coraz słodsza harmonią odzywały się w jej duszy. I była chwila, w której szeptała sobie: — „Mijają lata, młodość mija, kto w czas nie zerwie róż, nie zerwie już ich nigdy...“ I postać Pawła coraz wyraźniej zarysowywała się przed nią, zbliżał się do niej z uśmiechem miłości i szczęścia

na ustach, ujmował jej kibić, ku sobie garnął i ona chyliła się mu w ramiona, gotowa za uścisk uściskiem, za pocałunek pocałunkiem zapłacić. Nagle szpilka wypadła z jej warkocz i warkocz się rozsypał i poczuła wyraźnie jak ręka czyjaś ujęła falę jej włosów i posłyszała szept:

— Jak twoje warkoczki pachną!...

Drgnęła — a okropna myśl przeniewierstwa przez mózg jej przeleciała. Zbudziła się przeszłość, owiana ogromnym bohaterstwa urokiem, chwila niezapomniana nigdy jakiejś grozy uroczystej, gdy z szeptem błogosławieństwa rodziców mieszały się łzy jej, starte pocałunkami ust kochanka. A jeśli Gustaw pamięta? a jeśli wróci i ramiona wyciągnie do niej?...

Iz piersi wypadł krzyk przestrachu — krzyk zgrozy, że choć na chwilę zapomnieć o tem mogła.

Dzień był jasny, gdy Jadwiga zmęczone podniosła powieki. Pierwszą jej myślą było zajrzeć do pokoju, gdzie miała spać Helena, lecz czuła się tak osłabiona, że chwilę jeszcze poleżeć chciała; czuła się tak rozbita duchowo, że potrzebowała myśli zebrać, by w razie rozpoczęcia przez Helenę rozmowy wczorajszej, nie wahać się z odpowiedzią, żadnego prawa nie dać do posądzeń, że przeszłość szarzej, zaciera się pamięć.

Nigdy jeszcze Jadwiga nie czuła takiego rozdwojenia we wnętrzu swojej istoty jak w tej chwili. Wspomnienia przeszłości całą potęgą do jej tłoczyły się duszy, lecz nie mniej silnie przemawiała i terażniejszość. I ogarniał ją strach, że do tych dzwonów wspomnień mieszała się pieśń inna. Rozumiała, że dźwięki te nowe, dawnych zaprzeczeniem były; że upominają się o pewne prawa w jej sercu, że bój wiodą z sobą, szamocą się, walczą... a ona — cierpi.

— Wytrwam w miłości dawnej! — wołała, wznosząc się na silach — i ten okrzyk ją przerażał — bo mówił, że jest miłość nowa, może niewyraźna jeszcze, niepewna, lecz już się zaprzeczyc niedająca...

Omdlałym ruchem podniosła się z pościeli, do drżących rąk wzięła list Gustawa, przyłożyła do ust, a łzy perlące z oczu biegły.

— Wytrwam — szepnęła. — Choćbym miała umrzeć — nie zdradzę ciebie!...

Uspokoila się nieco i miała już drzwi otworzyć do pokoju Heleny, gdy weszła Janczewska.

— Dzień dobry, Jadziusi! —

— Dzień dobry, Marciu!... Czy panna Helena już wstała?

Janczewska wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

— Mnie się zdaje, że ta Helena spać się nawet nie kładła.

— Nie rozumiem ciebie, Marciu!

— Posłałam na sofie, miękko było i dobrze, że i ksiądz biskup nie narzekałby na takie spanie. Ale panna Helena nie ruszyła nawet pościeli, lampy nie zgasiła, bo wypaliła się do dna, a było jeszcze ciemno na dworze, godzina szósta nad ranem, jak weszła do kuchni, trąciła mnie w bok i rzekła: „Wychodzę, stara zamknij drzwi za mną!”

Jadwiga zdziwionemi oczyma patrzyła na Janczewską.

— Jakże ty się czujesz, Jadziuniu?

— Dobrze, Marciu!

— Musiałaś jednak źle spać, koteczko, bo oczki masz czerwone, a pod oczyma sińce większe, niż zwykle.

— Prawda, że bardzo postarzałam i zbrzydłam? — zapytała Jadwiga i połknęła łzy.

— O, nie — nie!... tylko... Ubieraj się, kotuniu, bo rodzice zaraz na herbatę przyjdą...

Ze źle udaną wesołością Jadwiga powitała rodziców, którzy widząc wchodzącą zamienili między sobą spojrzenia. Matka dostrzegła ślady łez, ojca zaniepokoił rumieniec gorączkowy.

Powoli, lecz widoczna zachodziła zmiana w Jadwidze. Coraz większe cienie kładły się pod oczyma, twarz chudła niezauważalnie, ulatywała wesołość dawna.

— Ty musisz się czuć dzisiaj niezdrową, Jadwidzi — mówił ojciec. — Pracujesz nad siły. — Może byś porzuciła zajęcie u Kwiatkowskiej.

— Straciłabym na tem, ojczyste!

— Więc daj pokój tym lekcyom z dziećmi-kami!...

— O, nie — mój ojczyste, tego nie uczynię nigdy!...

Powiem wam otwarcie, że gdyby mi tej dziatwy zabrakło, tego dobrego uczynku — popchnęłabym szalenstwo jakies. Pisałam o tem do Gustawa i wiem, że jeżeli on... kiedyś... wróci, jeżeli mnie brzydka i starszą zastanie — to kochać jeszcze będzie dlatego, że spełniłam wolę jego, że kochać i myśleć nauczyłam serc kilkadziesiąt i głów kilkadziesiąt. — Kto wie czy to nie będzie jedyną zasługą Jadwigi, jedynem wspomnieniem o niej — wyszeptwała.

Zabierała się do wyjścia, gdy ojciec wziął ją za rękę i zatrzymał:

— Chciałem z tobą pogadać, dziecko!

— Dobrze, ojczyste, ale tylko nie teraz. — Kwiatkowska czeka na mnie, boję się opóźnić, a roboty jest dużo. Wrócę, a wtedy będę na wasze usługi, ojczyste i mamol!...

Ucałowała ręce rodziców i wyszła szybko.

Niedaleko apteki Fokiewicza, — spotkała się z Heleną, która, z piersią dyszącą, z włosami w nieładzie szła szybko, biegła prawie.

— Heleno! — zawołała Jadwiga. — Co tobie?...

— Al! — to ty?... — odezwiała się Helena. — Wiedziałam, że spotkam ciebie w pół drogi!...

— Co tobie jest?...

— Ja wiem — ale trzeba żebyś i ty wiedziała.

— Mów — co to wszystko znaczy... Zagadkowa jest dla mnie i ta twoja wizyta wczorajsza i noc przepędzona bezsennością, bo nie tknęłaś pościeli nawet — i twoje wyjście przed świtem jeszcze.

— Tak, spać nie mogłam — odpowiedziała Helena. — Niepokój mnie trapił. Czas już ażebyś i ty wiedziała, co wczoraj u Konopków się stało. Był tam jakiś panicz, nazwiskiem... Mniejsza o to — zapomniałam jak się nazywa ten pomidor. Mówiono o tobie, o twoich lekcyach u Dudkowskiego... Panicz ten z przekąsem o tobie się wyraził, podejrzenie rzucił, że Dudkowski *rendez-vous* jakies tobie ułatwia...

— Nikczemnik! — zawołała Jadwiga.

— Psu brat — oczywiście! — dodała Helena.

— I nikt się za mną nie ujął?

— Gdyby nie było nikogo, to bym temu paniczowi oczy wydrapała — ale był ktoś...

— Brat — przerwała Jadwiga.

— Paweł — odpowiedziała Helena...

— Mów, mów — zawołała szybko panna Sośnicka, biorąc nerwowo rękę opowiadającej.

— Co tu długo mówić. — Po kilku słowach, które jak gromy między nimi padły — Paweł wyzwał oszczercę...

— Wyzwał? — rzekła Jadwiga i — lekko drzeć zaczęła...

— Słyszałam wszystko, bo stałam w drzwiach i oczyma całowałam Pawła. Pistolety — trzech strzałów zamiana — kroków dziesięć!... Czy słyszysz? kroków dziesięć! a oczywiście, że wyzwany ma pierwszy strzał... Z pierwszym dnia brzaskiem miał się odbyć pojedynek za miastem, pod murami cmentarza... Czy, wiedząc o tem, mogłam dłużej u Konopków zostać?... Czy mogłam spać?... Szaro było jeszcze, gdy wybiegłam od ciebie, aby się dowiedzieć jaki był koniec spotkania...

— I co? — szepnęła Jadwiga, a usta jej zbielały, widząc przestrach malujący się w oczach Heleny.

— Pan Paweł dostał kulą w pierś...

— Jezus Marya... urwanym szeptem wybiegło z ust Jadwigi. — Bładość śmiertelna pokryła jej twarz, i padłaby na bruk, gdyby nie podtrzymała jej Helena ramieniem silnym i energicznie wypowiedzianymi słowami:

— Nie mdlej! — Ludzie patrz!

To wróciło siły Jadwidze...

— Zabyty? — szepnęła.

— Nie — nie — nie!... Ranny ciężko, ale żyje...

Kula przeszła przez płuca i ugrzęzła gdzieś w łożpacie; operacja będzie trudna, lekarze jednak nie tracą nadziei. — Ale słuchaj — i przeciwnik nie wyszedł bez szwanku. Strzał miał iść po

strzale, dopóki jeden z zapaśników nie padnie — i — drugi padł strzał, druzgocząc ramię paniczowi... Wtedy dopiero z omdlejącej ręki Pawła wysunął się pistolet.

— Widziałas go? — spytała Jadwiga.

— Widziałam... Strasznie krwaw broczył, ale przytomny był i mnie prosił, żebym nie a nie tobie nie mówiła. Nie mówić? Głupi on!... Za godzinę całe miasto o tem wiedzieć będzie — ja zaś chciałam, że — jeżeli i ty już masz się dowiedzieć, ażebyś się dowiedziała z ust moich. Jadwigo! znowu mdlejesz! — zawołała Helena, widząc, że Jadwiga się słania, ogromnym wysiłkiem woli tylko walcząca z omdleniem...

— Wody! — szepnęła.

— Chodź — stoimy przed apteką...

Helena zaprowadziła Jadwigę do apteki, Fokiewicz przeraził się, widząc jej bladość —

— Co pani jest? — zawołał, składając ręce jak do modlitwy.

— Kropel orzeźwiających dawaj, pigularzu! — huknęła Helena.

Po chwili wróciła przytomność Jadwidze.

— Co paniom jest, co, co, co? — pisał Fokiewicz.

— Co? to pan jeszcze nie wiesz? — odezwiała się Helena.

— Nic a nic — ale to nic a nic!... — przysięgał aptekarz.

Jadwiga spojrzała na Helenę, jakby mówiła: milcz!

— Byłeś pan w menażeryi? — spytała Helena.

— Byłem — pani — a jakże!

— Widziałeś pan tam tygrysa?

— Widziałem — a jakże!

— Otóż się ten tygrys wściekł...

— Wściekł? — wrzasnął Fokiewicz.

— I wybiegł na miasto...

— Jezu Nazareński!... Na miasto?!... Ależ to nieszczęście!...

— Spotkałyśmy go właśnie i Jadwinią — jak pan widzisz — przestraszyła się...

Fokiewicz wytrzeszczył oczy, w których przerażenie znać było.

— Lepiej ci jest, Jadwisiu? — zwróciła się Helena do przyjaciółki.

— Lepiej — iść możemy...

— Ależ ja pań nie puszczać!... — zawołał Fokiewicz.

— Przecież u pana nie możemy pozostać, — rzekła Helena. — Do widzenia i — jazda!...

Wyszły, pomimo gwałtownego protestu Fokiewicza, który wpadł natychmiast do kuchni i wydał służbie rozkaz surowy, by drzwi zamknięto szczelnie, bo lata po mieście tygrys wściekły, sam zaś co chwila zazierał przez okno, obserwując ruchy przechodniów.

— Jak jednak oni spokojnie spacerują, — szepnął.

Menażeryi żadnej w mieście nie było, ale Fokiewicz uwierzył słowom Heleny; jeżeli zaś była, nie chciał się przyznać, że tygrysa nie widział. Zapomniał także, że na dworze śnieg leżał i mróz skrzył się.

— Heleno! — mówiła Jadwiga, — może dziś wieczorem odwiedzę panią Rzutkiewiczową. Chciałabym, żebyś i ty tam była.

Poszła do Kwiatkowskiej.

— Spóźniła się pani trochę, panno Jadwigo — a prosiłam, żeby pani wcześniej nawet trochę przyszła niż zawsze, bo roboty mamy dużo.

— Wybacz, pani — byłam chora... — szepnęła panna Sośnicka.

— Prawda, że pani jesteś strasznie zmieniona!... Ach, mój Boże, a ja panią zwolnić nie mogę.

— To przejdzie, niech pani będzie spokojna — silny ból głowy... nic więcej! — odpowiedziała Jadwiga.

I drżącą ręką wzięła kwiaty, dobierała barwy do strojów, to wołana przez Kwiatkowską przychodziła do magazynu i upinała bukiety i girlandy do sukien na bale przeznaczone. Przycho-dzące panie uważniej teraz patrzyły na nią a Jadwiga za spojrzeń domyśliła się łatwo, że wieść o przyczynie pojedynku już się rozeszła po mieście i że była teraz przedmiotem godnym obserwacji.

Bóg jeden wiedział, co się w jej biednej duszy teraz działo. Męczył ją niepokój o Pawła, myślała ciągle przenosiła się do niego, a podrażniona wyobraźnia coraz to groźniejsze mary wytwarzała.

Kula przeszła pierś—kto wie gdzie ta kula zatrzymała się, czy może w tej chwili, gdy myśli o tem, nie przecięła już nitki jego życia. Widziała panią Rzutkiewiczową zalewającą się łzami nad synem konającym, może z ust jej zlorzczenie płynie skierowane w jej stronę.

Westchnienie zakończone jękiem wyrwało się z piersi Jadwigi i zwracało ciekawą uwagę jej towarzyszek pracy. Dobrze serca niewieście odczuwały jej cierpienie, choć powodu nie znały. Wyręczały ją w czem mogły panny sklepowe, nie zadając pytań żadnych, domyślały się tylko rany jakiejś, której potrącać nie wolno. Wesole zawsze i chichotki, dziś rozmawiały półgłosem, poważnie i tajemniczo. Jadwiga wdzięczną była za to poszanowanie niewiadomego im bólu i gdy opuszczała pracownię z uczuciem dłoń każdej ścisnęła, jakby za współczucie dziękując.

Sośnicy nie jeszcze o wypadku nie wiedzieli... Jadwiga pierwsza powiedziała im o tem.

— Pojedynek... Pawła... hm! — mruknął pan Mateusz. — A nie mówiono czasami tobie, Jadwisiu, dlaczego ten pojedynek się odbył? może stawał w obronie zaczepionego czyjegós honoru—co?

— Tak, ojcze —

— Mów—mów—mów!

— W obronie mojego honoru, — wyszeptala Jadwiga.

Milczeli chwilę —

— Czy to nie tobie nie mówi? — spytał Sośnicki.

— Nie pytaj, ojcze!

— A ja właśnie chciałem w tej materii pogadać z tobą... Zdaje mi się, że ty nie jesteś obojętną Pawłowi, i że on...

Jadwiga chwyciła dłonie ojca i do ust przytuliła a łzy strumieniem polały się z jej oczu.

— Przyznaj się, dziecko, — szepnął pan Mateusz.

— Nie—nie, — tłumiąc łkanie mówiła Jadwiga. — Nie zmuszajcie mnie do mówienia, bo ja oszaleć mogę.

Wyrwała się z uścików ojca, pobiegła do swego pokoju i głośnym wybuchnęła płaczem.

Późnym już wieczorem poszła do pani Rzutkiewiczowej.

Z ogromnem drżeniem serca przestępowała próg jej mieszkania, bała się, by jej samej nie zastać, ale na szczęście wybiegła na spotkanie Helena i oznajmiła, że operacja powiodła się dobrze, kula wyjęta, żaden organ ważny uszkodzony nie został, a choć według zdania lekarzy kula przeszła płuca, lecz ciężka rana się zagoi, silny organizm zwalczy chorobę, uzdrowienie tylko będzie postępowało zwolna bardzo.

Jakby czując na sobie wielki ciężar grzechu, ze skromną postawą zbliżyła się Jadwiga do Rzutkiewiczowej. Ujrawszy ją matka Pawła, podeszła szybko i całowała zaczęła. Ten pocałunek, jakby przebaczenie, ożywcza miał siłę w sobie—Jadwiga przytuliła rękę pani Rzutkiewiczowej do ust drżących i wyszeptala ledwo dosłyszczanym głosem:

— Ja niewinna jestem, pani—ja jestem niewinnal...

— Ale któż o tem mówi, któż o tem myśli? — odezwała się matka Pawła. — Mój syn nie mógł inaczej postąpić, a gdyby postąpił inaczej, kochałabym go zawsze, ale mniej niż teraz.

Jadwiga chciała widzieć się z chorym, lecz tym odwiedzinom sprzeciwił się lekarz ordynujący. Paweł potrzebował spokoju, wszelkie wzruszenie na złe by mu wyszło. Był zresztą w stanie rozgorączkowanym. Zadaniem lekarzy jest zapanować nad gorączką, do której usunięcia potrzeba przecie czasu. Rana śmiertelną nie była, lecz nikt dzisiaj nie wiedział jaki obrót choroba przybrać może. Był móżdżek coś pewnego powiedzieć, tydzień lub dwa tygodnie czasu potrzeba. Bądź więc cierpliwa matko, bądź więc cierpliwa panno Jadwigo, tydzień czasu minie szybko jak sen!...

Potrzeba więc w trochę cierpliwości się uzbroić.

Jadwiga codziennie odwiedzała panią Rzutkiewiczową, codziennie spotykała Helenę, która jak siostra miłosierdzia czuwała przy chorym. Pozazdrościła jej tej opieki Jadwiga, jak Pawłowi rany w piersi Andrzej zazdrościł.

Pan Bóg wie, co roilo się w głowie rozkochanego chłopca. Dzień i noc nad książką siedząc, garściami chwytając światło wiedzy, w rozognionej wyobraźni swojej tworzył światy zczarowane. Chciał ku sobie zwrócić myśl Jadwigi, choć odrobinę jej serca pozyskać—teraz ta krwawa pierś Pawła w spełnieniu się jego marzeń kamienną zaporą była. Dla czego on, Andrzej—tego panka na bój nie wyzwał? dla czego to kula nie przeszła piersi jego? Z rozkoszą by umierał, bo wiedział, że czar jego, jego niebo schyliłoby się nad nim, że dłonie jej zamknęłyby mu powieki, jej usta na czole jego spoczywały.

Paweł leżał w gorączce, o tem wiedział Andrzej, lecz wiedzieć chciał, czy Jadwiga dowiadywała się do niego. Czatował na nią i spotkał raz i drugi jak szła do domu Kamenekich i widział jak do oficyny wchodziła, gdzie leżał chory.

— Oddałbym moje zdrowie, młodość i zapal mój za tę chorobę, — szepnął oparty o róg kamienicy, stojącej po stronie przeciwnej domu Kamenekich.

Po paru tygodniach wahania się między życiem a śmiercią, czuwający przy chorym lekarze odetchnęli. Gorączka przeszła, niebezpieczeństwo stanowczo minęło, a jakkolwiek powrót do zdrowia powolny był, lecz stały i prawidłowy zupełnie.

Pierwszą wiadomość o tem polepszeniu się otrzymała Jadwiga z ust samej pani Rzutkiewiczowej, która głośnym śmiechem radości powitała wchodzącą i rozplakała się jak dziecko. Łzy biegly i z oczu Jadwigi, obie kobiety słowa innego wymówić nie mogły, jak tylko: Chwała Bogu, chwała Bogu!

To wszystko, co przecierpiała i przeżyła przez te dni kilkanaście, wybitne na niej piętno swe położyło. Wesoła zawsze, starająca się zresztą być wesołą, teraz pograżała się w smutku nieprzerwanym na chwilę. Uśmiech ani razu nie powstał na jej ustach, na pytania odpowiadała po pewnym namyśle, głosem bezdźwięcznym, który mówił: „Nie męczę się mnie!“ Nie przerywała jednak swych zajęć, a rozmawiając z dziatwą ją otaczającą, do opowieści wybierała legendy jakieś dawne, gdzie ludzie z zaparciem się życia własnego bronili cnoty i prawdy, gdzie, jeżeli kochali, to sercem całym i duszą całą i bajka rosła w olbrzymią powieść jakąś, a ludzie w bohaterów, bohaterzy w półbogów.

W dniu, w którym usłyszała dobrą wiadomość o zdrowiu Pawła, zauważył Andrzej ogromną zmianę w Jadwidze. Na ustach dawno niewidziany uśmiech zawitał, głos miała pełniejszy, metaliczny dźwięk w słowach. Gdy wychodziła, zbliżył się do niej i rzekł:

— Czy pani myśli, że jaby nie mógł tak samo jak pan Paweł poświęcić się dla pani?

Jadwiga spojrzała na Andrzeja i odpowiedziała spokojnie:

— Wiem, wiem o tem, panie Andrzeju—ale niech pana Bóg broní od podobnego wypadku.

— A ja proszę Boga o taką ranę w piersi jaką pan Paweł otrzymał... — zawołał z zapalem.

— Bredzisz, mój chłopcze!

— Nie—nie, ja szczerą prawdę mówię, panno Jadwigo! Zazdrościłem panu Pawłowi tej kuli, zazdrościłem mu odwiedzin pani, może zazdrościć teraz...

Zatrzymał się—serca gwałtowne bicie nie pozwoliło mu słów dokończyć.

— Czy nie odwiedzałam ciebie, gdyś był chory? — spytała z uśmiechem.

— To prawda! Ale to była choroba zwyczajna, nie krew dla pani przelana... A—krew! Ja czuję, że w niej jest jakaś moc ogromna, siła jakaś, która przyciąga, która zapanować potrafi nad... nad...

— Andrzeju! — odezwała się z powagą Jadwiga, hamując zapal młodzieńca —

— Pani! czy pani kocha Pawła? — wyszeptal nagle, ogniste spojrzenie zatapiając w oczy Jadwigi...

Panna Jadwiga poruszyła głowę i rzekła: — Co ci się roi, mój chłopcze—co ci się roi?... Wiesz przecie, że nie jestem wolna, wiesz przecie na kogo czekam — — — Ani Pawła ani twój ja nie będę nigdy!

Jakiś ciężar spadł z piersi Andrzeja, podniósł rękę Jadwigi do ust rozpalonych i szepnął:

— Dziękuję ci pani za te słowa, a głównie za te ostatnie słowa... Dziś przemówiłaś nie jak do dziecka, lecz jak do człowieka. Ha! zrozumiłaś mnie—a ja chciałem tylko, żebyś mnie choć raz jeden zrozumiała... Ale pamiętaj, że jestem nieodstępny cieniem twoim, żyć będę dopóki ty żyć będziesz, umrę, gdy ty umrzesz...

Raz jeszcze pocałunek na jej ręce złożył i wbiegł szybko do domu.

Jadwiga rozumiała teraz, że nie zawsze piękność jest błogosławieństwem nieba. Jeden na śniegach dalekich tęskni za nią, drugi pierś przez nią okrwawił, a oto chłopię ledwo dorosłe przez z tęsknoty miłosnej.

Wróciła do domu dziwnie poważna, w bramie spotkała Laminowskiego, który skłonił się ceremonjalnie i przeszedł.

Wchodząc do salonu posłyszała śmiech ojca.

— A, Jadwisia! — zawołał Sośnicki, — chodź tutaj, nowinę ci powiem.

— I ja mam, ojcze, nowinę. Niebezpieczeństwo minęło, życiu pana Pawła nie już nie grozi.

— Chwała Bogu Najwyższemu! może teraz i ty się poprawisz, dziecko drogie, — odezwała się Sośnicka.

Panna Jadwiga rumieńcem spłoneęła.

— Nowina, tatusiu? — przypomniała Jadwiga.

— Laminowski o twoją rękę się oświadczył — — —

— Czwartý szalencie! — wyrwało się z ust Jadwigi.

— Jakto czwartý?

— Wszyscy się we mnie kochają...

— Nie wyjmując nawet Fokiewicza, — zaśmiał się pan Mateusz.

— Co — i ten?

— Otrzymałem list z oświadczeniami!...

Jadwiga parsknęła śmiechem.

— Musimy ojcze uciekać z Szarogrodu, musimy koniecznie uciekać!

— Ba! ani wiem dokąd, ani mam o czem! — westchnął Sośnicki. — Ale czy chciałabyś na prawdę wyjechać? — zapytał po chwili.

— Sama nie wiem... Zostawiłabym tu dużo serc nieszczęśliwych, z miłością taką garnących się do mnie. Nie!... — odpowiedziała po namyśle, — mam tu swój kościół, w którym jestem kapłanką, mamy tutaj trzodkę małą, której dobry pasterz opuścić nie może — — —

Sośnicki nic nie odpowiedział,

Z dniem każdym poprawiało się zdrowie Pawła, z dniem każdym wracały siły Jadwigi.

Karnawał minął i post i Święta Wielkiejnocy. Ciepłe, wiosenne powietrze wessało wszelką wilgoć ziemi, świat się uśmiechnął do słońca, zazielenił się cały i rozśpiewał się głosami stworzeń różnych.

Dzień był piękny i poraz pierwszy Pawłowi pozwolono wyjść na świat boży. Jadwiga nie widziała go od dnia fatalnego wypadku, bała się słów, jakiemiby może przemówił do niej, może i własnej lękała się odpowiedzi. Nie mogąc widzieć Gustawa, nie chciała teraz Pawła widzieć; i ona miała jakąś ranę w piersi, która zagoić się musiała; teraz, po paru miesiącach niewidzenia się, spotkają się jak dawni znajomi, wspomnienia, jeżeli były jakie, zbledną, uspokoi się serce, nawiązana nitka uczuć w silniejszy nie zacisnie się węzeł.

Tak myślała Jadwiga, idąc w odwiedzin do Rzutkiewiczowej.

Spotkała z balkonu schodzącego Pawła.

— A!

— A! — z dwójga ust naraz wypadło.

Czy pod wrażeniem wstrząśnienia, jakiego doznał na widok Jadwigi, czy może niezupełnie zagojona rana ostrym odezwała się bólem—dość,

że Paweł zachwiał się i musiał się o balustradę zatrzymać. Jadwiga podbiegła i podtrzymała chwiejącego się —

— Dziękuję pani, — szepnął. — Okrutnie powoli do sił powracam — odurzyło mnie powietrze wiosenne...

Podał rękę Jadwidze i ucałował trzykrotnie.

— Nie widziałam pana tak dawno.

— Nie chciała pani widzieć...

— Nie mogłam... — szepnęła Jadwiga.

I wyciągając po raz drugi rękę ku niemu — rzekła cicho:

— Jak mam dziękować panu, czem wynagrodzić potrafię?...

— Czem? — odezwał się Paweł, nie wypuszczając z dłoni swojej drogiej rączki Jadwigi... — Com zrobił, nie zrobiłem dla nagrody, był to tylko nakaz obowiązku. A jeżeli o nagrodzie mówisz pani — to ona od ciebie zależy...

Niewyraźnym wyrazem skończył. Jadwidze się wydało, że na końcu rzekł jej imię, cicho, niedosłyszalnie prawie, lecz z trzech zgłosek złożone:

„To od ciebie zależy... *Jadwigo!*“

Jadwiga uczuła szum w głowie i przyspieszone drżenie serca i znowu rozbudzenie się czegoś, co zdawało się, że już się do snu układało.

— Zastałam mamę pana? — spytała, nie podnosząc oczu od ziemi.

— Pani chcesz iść do niej, mnie jednej chwili poświęcić nie chcesz?

Jadwiga podniosła oczy — spojrzenia się ich spotkały.

— To dziwne, — rzekł Paweł, — że i pani pobla- dłaś!...

— Cierpiałam na równi z panem...

— Pani?

— Tak!... bo mimowolną byłam przyczyną nieszczęścia...

— Dla tego tylko? — rzekł Paweł i znowu badawcze spojrzenie utkwil w oczach Jadwigi.

Siedzieli naprzeciwko siebie, rozdzieleni niewielką przestrzenią małego balkonu.

— Panie Pawle — nie patrz tak na mnie! — szepnęła Jadwiga.

— Choćbym oslepił widzieć panią będę — i dusza ma wzrok swój. Ale posłuszny jestem rozkazowi pani — posłuszny zawsze, zawsze, zawsze!

W tej chwili w furtce ogrodowej stanęła Helena z pękiem fijołków w ręce.

— Dzień dobry ci, Helu! — odezwała się Jadwiga.

— Chciałabym przyjść do was, ale może wam lepiej bezemnie —

Jadwiga podbiegła do Heleny.

— Chodź! — szepnęła i pociągnęła ją za rękę do balkonu.

— Moja dobra siostra miłosierdzia, — uśmiechnął się Paweł.

— Cały bukietek fijołków chciałam dać panu — ale teraz rozdzielam kwiaty pomiędzy was dwoje.

— Jak pachną! — rzekła Jadwiga.

— Warkocze twoje! — dodaje sentymentalnie Helena.

Teraz Jadwiga zmieniła się dziwnie, w oczach wyraz przestraszenia zaświecił.

— Ot, głupstwo palnęłam! — zawołała niechętnie Helena.

— Nie — powiedziałaś bardzo dobrze, — rzekła Jadwiga. I ujmując dłoń Heleny — dodała:

— Dziękuję ci, Helenko!...

Paweł nic nie rozumiał — prosił więc o wytłumaczenie słów zagadkowych.

— Nie wolno panu tego wiedzieć... — rzekła Helena.

Słońce ku zachodowi się zbliżało — przed chłodem wieczornym musiał Paweł uchodzić, Helena i Jadwiga mu towarzyszyły.

Pani Rzutkiewiczowa serdecznym, macierzyńskim jakimś uściskiem powitała drogiego gościa. Cieszyło ją powracające zdrowie Pawła, cieszyła wiosna, mówiła o wycieczkach wspólnych za miasto, nad piękne, skaliste brzegi Rastawicy.

— Za tydzień, dwa — będę już zdrów zupełnie... Ale jeżeli panna Jadwiga odmówi mi towarzysztwa to znowu zachoruję, — dodał z uśmiechem Paweł.

— Nie — nie... będę towarzyszyła panu. I ja muszę sił nabrać, które przez pana utraciłam — równie z uśmiechem odpowiedziała Jadwiga —

— Już mi jest zupełnie dobrze, mam, — zwrócił się Paweł do matki.

— Ja chciałabym, ażeby *wam* było dobrze!

— Opowiem państwu awanturę, — rzekła nagle Helena, — dwie nawet!

Zasmiano się.

— Laminowski oświadczył się o rękę Maryni — i oczywiście z radością został przyjęty.

— Tak? — uśmiechnęła się Jadwiga.

— Ale ty nie wiesz o jednym jeszcze wypadku.

Jadwiga czekała dalszego ciągu.

— Brat twój wyjechał z Szarogrodu do Porczyńskiej na wieś.

— Ach! już tak dawno nie widziałam Olesia — ale wiem, że wyjechał, ma tam ubezpieczyć od ognia resztę zabudowań gospodarskich.

— Nie — spalić się w objęciach Rabskiej.

Jadwiga zerwała się z krzesła.

— Nie wiesz o tem? Ta Hermenegilda ma trzykroć — cóż chcesz?..

(Dalszy ciąg nastąpi)

TEATR.

Ucieczka (L'évasion), komedia w 3-ach aktach, przez Brieux tłumaczona z francuskiego.

Czy jest zadaniem dramatu albo komedii rozwiązywać zawile zagadnienia społeczne albo twierdzenia naukowe — o tem różni różne mogą mieć zdania. Jeżeli ostatecznie zaś mamy się zgodzić na to, to dajemy prawo sztuce załatwiać się z pierwszemi, lecz ostatecznie, stanowczo przed nią usunąć się muszą. Czy człowiek ma wolną wolę, czy jest odpowiedzialny za swoje czyny, czy siła dziedziczności jest tak straszliwą potęgą, że ani rozum, ani wychowanie staranne, ani otoczenie, w jakim w latach późniejszych się obraca, temu straszliwemu fatalizmowi oprzeć się nie mogą — jest to wielką zagadką nauki, która, jeżeli może coś o tem pewnego powiedzieć, to musi mieć za sobą olbrzymi balast dowodów, niezmierną moc faktów i nie lata, lecz wieki doświadczeń. Pomimo jednak rozmaitych hipotez i twierdzeń — ostatniego wyrazu z jej strony nie słyszymy. Ścierają się z sobą zdania uczonych, teoria teoryę obala — lecz już — dlatego, że jest dwie prawdy, czy spór o te prawdy — nie mamy żadnej, na której moglibyśmy sąd swój oprzeć jak na niezbitych dowodach matematycznych. Jeżeli zagadnień podobnych nie rozwikłała dotąd nauka, mająca już sporo czasu za sobą a wieki przed sobą — nie rozwikła ich trzyaktowa komedia, choćby napisaną była ręką najwprawniejszego mistrza. Utwór podobny niepokoi nas w założeniu, a w zakończeniu nic a nic nie daje. Wychodzimy nieprzekonani, z niesmakiem nawet pewnym z powodu bankructwa sztuki.

Autor, stawiający *tezę*, sili się wszelkimi sposobami na jej rozwiązanie, — lecz ponieważ dzieło sceniczne nie jest traktatem naukowym, ponieważ liczyć się musi z czasem, miejscem i cierpliwością widza — najważniejsze nieraz rzeczy musi z konieczności po lebkach traktować, pamiętać o tem, że nie pisze rozprawy naukowej, której nadanie dramatycznej sukienki właściwem nie jest, stara się więc rzecz całą kilku słowami zakończyć, na słowo każde wierzyć, że tak jest lecz nie inaczej, ale, że coraz mniej mamy ludzi naiwnych, nie przekonywa nikogo, a wielką szkodę dziełu swojemu wyrządza. — Zresztą, będąc przeciwnikiem zdecydowanym danej teorii naukowej, jak autor „Ucieczki“ — dziedziczności, — musi nam jasno postawić fakty, które oto z pod ogólnego prawidła takich a takich danych naukowych — wyłamały się. Niejeden z nas przypomni sobie

wypadek podobny w życiu, a będąc zwolennikiem przekonań autora, przykłaśnie mu z całej duszy za rozwiązanie w ten sposób tematu; przeciwnikowi nie przekona, lecz i ci będą musieli powiedzieć, że — niema reguły bez wyjątków. Lecz już i ten wyjątek stanowi pewne pocieszenie dla serc strapionych, zostających pod kłębem dziedziczności.

Rozumiemy Ibsena w jego „Upiorach“ który, bez względu na to, co by do powiedzenia mieli przeciwnicy omówionej teorii — rzecz swoją do końca przeprowadza z okrutną konsekwencyą wypadków, — nierozumiemy p. Brieux, który, jak gdyby nie wierzył w głoszoną przez siebie prawdę, dużo czasu poświęca słownemu starciu się przeciwnych opinii, nie dając swojej myśli faktycznego dowodu, któryby nas szczerą wiarą natchnął w prawdziwość głoszonej przez siebie zasady. O twierdzenia te z punktu naukowego nie idzie — tylko o to technienie szerokie, które każe naszej piersi odetchnąć swobodnie, o ten zapal przekonań, który porywa i mimo woli rzuca nas w stronę pisarza. — Pan Brieux postawionej tezy nie rozwiązał, do siebie nie przyciągnął zagadka zagadką została, nasuwając widzowi tysiąc myśli sprzecznych. My, osobiście, jesteśmy przeciwnikami sztuk, w których tendencya główną gra rolę. W dramacie czy powieści, autor powinien się ukryć za kulisy; niech mówią wypadki, a już z dobrze napisanego dzieła tendencya wywinie się sama przez się, bez żadnego nacisku na nią położonego. — Jednak, pomimo tej kardynalnej wady „Ucieczka“, p. Brieux nie jest pozbawiona wcale zalet pisarskich i scenicznych. Przeciwnie, dużo tam jest rzeczy dobrych, pięknych nawet, najbardziej zaś wdzięczni jesteśmy autorowi, że bohaterów swoich nie zwał w błocie, lecz postawił ich w jasności pewnej, co nie jest codziennym wypadkiem u komedyopisarzy francuskich.

Dziedziczność wad, grzechów i zbrodni, dla młodego autora, jakim jest Brieux, jest zaprzeczeniem sprawiedliwości bożej, jakąś klątwą szatańską na ród ludzki rzuconą niesłusznie. Uczeni, głoszący z trójnoga rzekomą tę prawdę światu, nie są jego dobroczyńcami, lecz katami litości niemającymi. Przekonanie, że wszelki wysiłek ludzkiego rozumu i wola ludzka ugiąć się muszą pod jarzmem tego Drakońskiego prawa — dusze szlachetniejsze do rozpacz prowadzi, słabsze do nieuniknionego upadku. — Stajemy się niewolnikami umarłych, spadkobiercami dzieł zictwa, którego wyrzec się nie możemy. Największe skarby nam dane możemy podeptać nogą i precz cisnąć, jesteśmy panami życia nawet — a tych pęt tylko zrzucić nie możemy z siebie, które na nas włożyła zepsuta krew ojców.

Przerażająca niewola!

D-r Bertry, przez czterdziestoletni wysiłek swojego mózgu, doszedł do przekonania, że owa fatalna siła dziedziczności jest naukowym pewnikiem. Pracami pisanymi w tym zakresie zdobył sławę uczonego, przekonania swoje wpa- jał w umysły otaczającej go młodzieży, czytano jego naukowe rozprawy i wierzono mu z zawiązanymi oczyma. Nie wolni od wpływu jego nauki byli Jan Belmont, pasierb doktora i Lucyna, córka jego brata, wychowująca się przy nim, a nosząca nazwisko swej matki. Nad tymi właśnie dwojga ludźmi zawisł ów miecz Damoklesa, owa, stwierdzona niby naukowo, dziedziczność... d-r Bertry. Belmont był synem ojca, który cierpiał na melancholię i życie sobie odebrał; Lucyna była córką pięknej, a sławnej zalotnicy. Los więc ich został zapisany już w księdze przeznaczeń: Jan *musi* pójść śladami ojca, Lucyna matki; Belmonta moc żadna przed melancholią i samobójstwem nie uchroni, tak jak Lucyny przed życiem rozwiązałem. Młodzi cierpią, cierpią okrutnie z powodu tej niesprawiedliwości losu, na tę nie przemożną już niczem fatalność, która pokieruje ich kroki nie tam dokądby iść chcieli, lecz tam, dokąd im przeznaczenie iść każe. Wierząc w niezłomną pewność twierdzeń uczonego, niestara się nawet z pod tego wyłamać się jarzma: osądzeni z góry zostali na takie lecz nie inne życie.

I rzeczywiście—przekonanie to doprowadza Jana do melancholii, biedną Lucynę strachem przejmując; biała jej dusza wzdyga się przed tą koniecznością, lecz d-r Bertry jest uczony, a oni tak wierzą w naukę jego.

Prześliczna jest scena, gdy Jan i Lucyna, skazani przez owe niewzruszone prawa dziedziczności, żalą się przed sobą na los okrutny, nie mogąc pociechy żadnej w boleści swojej znaleźć. Ale z tej skargi wywiązuje się wyznanie serdeczne, o swoje prawa dopomina się miłość i miłość ta właśnie ma być „Ucieczką“ przed potworem, sączącym dzień po dniu, kroplę po kropli, truciznę w dusze ich biedne. Jan, który przed chwilą, namówiony przez brata doktora i zacnego lekarza Richan—nie chciał wyjechać do majątku, by gospodarstwem się zająć i odetchnąć zdrowym powietrzem Bretanii, mówiąc: po co to, na co, gdy wszystko skończyć się musi?—teraz, wzmocniony przez miłość Lucyny, nabiera wiary w siebie, i—choć Lucyna przyznaje mu się, że kiedyś kochała Pawła de Maucour, który ją dlatego tylko porzucił, że była córką sławnej Claret—namawia ją do „ucieczki“ z więzienia fatalizmu, wierząc w szczęście, jakie mu da ognisko domowe. Ojciec Lucyny zgadza się na związek młodych, ale tu jak grom spadają słowa d-r Bertry—sprzeciwiające się małżeństwu.—Córka lekkich obyczajów kobiety z synem melancholika i samobójcy nie mogą się pobrać: powinni ze swoim przeznaczeniem się zgodzić i żyć samotnie. Umywa jednak ręce, gdy młodzi przy swoim stoją.

I oto widzimy Jana i Lucynę na wsi, w otoczeniu pięknej natury. Silniejszy organizm mężczyzny pozbył się melancholii, słabszy Lucyny, mimo szczęścia, jakie miłość daje, nie może otrząsnąć się z pod wpływu fatalnego przeznaczenia. Trochę się nudzi—i oto w tem nudzeniu się słyszy głos prawa dziedziczności, z za grobu przemawiający do niej. Nawiedzają Belmontowstwa Paweł i pani de Maucour żona Pawła; rozpustnik stara się o względy kochanki dawnej i gdy ta, chwilej się na podanym sobie rowerze—on pocałunkami ją osypuje. Nie bronila się—kto wie dlaczego? może zmieszala ją nagłość wypadku?—może dawne wspomnienia przemówiły i bronić się przed uściskami natręta nie mogła?—lecz oto z całą siłą wraca dawna wiara w nieuniknioną losu. Przybywający mąż z pola, widzi zmieszanie się Lucyny i Pawła—na myśl straszne podejrzenie mu się nasuwa. Zapytuje żonę o przyczynę zmieszania się, zrazu nie dowiaduje się nic, później jednak biedna kobieta przyznaje się do winy, przyznaje się do otrzymanych pocałunków.

Lecz dlaczego zezwoliła na to, dlaczego natrętowi pójść precz nie rozkazała?

Rozżalony Jan, w bólu wypowiada słowa, które dalsze ich pożycie nie możebnem czynią.—Czyś zastanowiła się, co ludzie powiedzą? że jesteś córką Clarety!

— Ha! — widzisz — że uledez musimy przed dziedziczności prawem—mówi Lucyna.

Oboje znowu cierpią—„Jestem!...—odzywa się fatum straszliwe.

I oto widzimy ich w Paryżu, w mieszkaniu D-r Bertry, na balu, wydanym z powodu uorderowania doktora przez akademię.—Daremno Jan chce dawną miłość w żonie swej rozbudzić, ona o tem słyszeć już nie chce—i—gdy on cierpi, ona bawi się w najlepsze, otaczając się kobietami, mówiącymi z cynizmem o wiarołomstwach swoich.—Na balu jest Paweł—spotyka się z Lucyną sam na sam. To spotkanie się uważa Lucyna za próbę, która jej wskaże „drogę upadku albo drogę jaką uczciwa kobieta iść powinna.—Paweł o miłości jej prawi—ona słucha i pieści się tem wyznaniem; lecz gdy on mówi, że jego kochanką zostanie, wzdyga się na myśl podobną jej dusza czysta, odtrąca go od siebie i gdy ten w ramiona swoje ją porywa, walcząc z uporną—głosem ratunku przywołuje Jana: „Bronń mnie!“ woła—i pada na pierś męża.

Czy będą żyć nadal spokojnie?

Będą—lecz im potrzeba koniecznie jednego słowa d-r Bertry, że jego dowodzenia o dziedziczności są mylne. Pod pewnym przymusem

d-r je wypowiada, a wtedy radość wstępuje w serca zwątpiałe, wtedy Jan i Lucyna wydają okrzyk: „teraz będziemy szczęśliwi!“

Gdzie jest rozwiązanie zagadnienia? Nie widzimy go wcale.—Wiara Lucyny i Jana w fatalność, wiara, którą przesiąkli od dni dziecińczy, nie znikłaby na jedno *wymuszone* od doktora słowa. Czujemy niesmak, nie jesteśmy nawet pewni, czy nie powtórzyłyby się znowu kiedy scena na rowerze, czy zmora dawna nie przytłoczyłaby znowu piersi Lucyny?—„Ucieczka,“ więc p. Brieux, jako sztuka tendencyjna jest płodem poronionym, ma jednak wiele zalet, jako dzieło sceniczne i zacną przesiąkniętą myślą.—Rapakci, Frenkiel, Wolski, Czakówna i Nowicki zasłużone zbierali oklaski.—Sztuka powinna utrzymać się na repertuarze mimo braków pewnych.

K. Gliński.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

Pracę tę w streszczeniu wygotował autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Inaczej odczuł i opiewał krainę stepów autor „Zamku Kaniowskiego,“ Seweryn Goszczyński. Wyobraźnia tego poety, nie tyle lotna, ile odznaczająca się siłą niezwykłą i wyrazistością, rzuciła na przyrodę barwy posępne, fantastyczne, odtworzyła w niej potęgi pierwotne, nieokielznane. W pieśni tego poety odżyły wszystkie wierzenia ludu miejscowego, ściśle z przyrodą związane; odtwarza ona legendy i podania z wiarą szczerą, daje im życie, tworząc krainę cudów, z łona natury wypływającą. Siły tajemnicze, które czyhają na człowieka w „złotliwym obłędzie wicherów,“ w złowieszczych głosach sów i puszczyków, w hukaniu topielicy, w upiorach, w gwiazdach spadających — wszystkie żyją w przyrodzie i nie dadzą oddzielić się od niej.

W „Sobótce“ poeta przenosi się do innej krainy, na wyżyny Tatr, w czasy ubiegłe, w mroki XIII-go stulecia, gdy dusza ludu silniej jeszcze, niż dzisiaj, zbratana była z przyrodą, głębiej wierzyła w jej siły mistyczne, czuła przed niemi trwogę i wpływ bezpośredni na losy swego życia im przypisywała. Były to czasy, gdy:

„Dzisiejsze dziwy dziwnymi nie były:

„Grały widomie niewidome siły,

„I pilnowały człowieka, jak dziecko.

„W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą

„Krewne współczucie, ludzie znajdowali,

„Bo nie gardzili naówczas przyrodą,

„Bo ją, jak matkę, znali i kochali.“

Widziadło mnicha, który w podaniach ludu miejscowego przedstawia postać tajemniczą, złowieszczą, zjawieniem swem poprzedzającą wielkie nieszczęścia, odgrywa rolę głównego bohatera w powieści poetycznej; za niem zaś idą również cudowne, straszne postacie dziwo-żon, które kradną dzieci wieśniacze, chwytają góralki, zbłąkane w zaroślach, mistyczny król węzów, skaczące głowy nieżywe i t. p. Fantazyja śpiewaka nadaje tym postaciom kształty niezmiernie wyraziste, uplastycznia je i poetyzuje; daje im życie mistyczne w głębi sił i zjawisk naturalnych, tak, że cudowność przebywa w samej przyrodzie. Oto, jak żywo, naprzykład, Goszczyński opisuje postać owego „mnicha“ legendowego; o którym wyżej wzmiankowałem:

„Widziadło stąpa, liściem otulone;
„Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
„Na piersiach leży długa broda siwa
„A trupia głowa siedzi na ramieniu.
„Widziadło wichrem stąpa ku płomieniu,
„Głowa z ramienia ptakiem się porywa,
„Leci ciałem w ogień, uderza piorunem,
„I stos rozwała; widziadło brodacza
„Stos rozburzony poważnie przekracza,
„Wlecze za sobą dym i skry całunem,
„I burzą coraz dalszą w lasach znika.“

Zjawiska naturalne poeta równie żywo i plastycznie uosabia. Jak i nadprzyrodzone, żyjące, według wierzeń ludu, życiem mistycznym w głębi i sił i zjawisk naturalnych. „Dunajec maleńki busta się w wody szumie.“ Zwiędłym liściom haגיע, osiny daje poeta serca ojca, który:

„Bez pociech, w boleści,
„Podobnie zwiędły, samotny podobnie,
„Do grobu dziełek utęsknia żalobnie.“

Niekiedy całe opisy przyrody oddychają pierśią uczuć ludzkich, pełne są gwaru człowieczego:

„Woda Dnieprowa poważnie się toczy,
„Częstym całunkiem o pierś łódki pluska,
„Na niespodzianę, na drżającej przezroczy,
„Łamie się księżyc, jak ognista łuska.
„Za lotnym dębem drobne wiry gonią;
„Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
„Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały.“

W innym miejscu: „wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszcę“—a gdzieindziej znowu:

„Gdy ziemia zaśnie, księżyc wartę trzyma,
„I nocne wiatry oblatują ciszę.“

Poeta, jako dziecię, na łonie natury pierwotnej wykołysane, niezmiernie wrażliwy jest na wszystkie jej głosy; przykłada ucho do drzew i głązów, a drzewo mu „brzmi w głębi,“ „skała drga łoskotem.“ Piewca widzi i słyszy, jak przyroda żegna słońce zachodzące:

„Jękiem listka, co głuchnie nad ogłuchłym [brzegiem;
„Wielkim hymnem zórawi, co ciągną ku morzu;
„Rykiem trzody, co rzuca jałowe pastwiska;
„Głuchym szmerem, co stęka w zmartwiałych [wód łonie,
„Konającym promieniem, co z rosy polyska,
„Gdy raz ostatni, drżąc, zimny wichur ścisła.“

Żaden najsubtelniejszy dźwięk przyrody nie ominie ucha śpiewaczego. Nawet wtedy, gdy ja sen nocny unieruchomi, poeta w tym spokojnym uroczystym słyszy, jak świat cały „duma północną modlitwą.“

Niekiedy w odczuciu przyrody poeta pogrąża się w zadumie metafizycznej, a wówczas duch jego wzlata na wyżyny, gdzie człowiek czuje się bliższym nieba, znajdując się na samem dwóch sfer pograniczu:

„Weselsza dusza żywiej tu promieni,
„Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
„Któremi Wieczny w tle chaosu cieni,
„Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał;
„Z przed tronu Boga głośniej tu dolata
„Śpiew, co ją w łonie wieczności kołysał.“

Dusza ludzka łączy się więc w naturze z łonem wieczności. Każdy „pyłek“ ziemi jest „świata ogniwem.“ Słuchając pieśni ziemskiej, „same niebiosy pochylały skronie.“

Przyroda u Goszczyńskiego, równie jak przyroda w pieśni autora „Maryi,“ niewesoły ma nastrój. Goszczyński jednak, zamiast melancholii Malczewskiego, daje nam grozę posępną i trwogę wobec widziadeł strasznych. Zdaje się, jakby ptaszęta wesołe w naturze zamaryły, a zostały tylko sowy i puszczyki. Wszędzie barwy posępne, nawet wschód słońca niema blasków jasnych:

„Od wschodu dzień się zapłomienia,
„Księżyc rumiany, niby krwią się zbroczył,
„W posępne chmury, jak do śmierci łoża
„I jak zlej wieszczby wyszła drżąca zorza.“

Do tych ponurych obrazów i głosów przyrody nastrojają się też uczucia ludzkie, niezwykle potężne, groźne a nieokiełznane w swych porывach dzikich. Barwy czarne i krwawe grzeszą niekiedy zbytnią jaskrawością, jakby były nagromadzone sztucznie. Przyznać jednak trzeba, że, aczkolwiek ten, lub inny obraz może nam się wydać przesadnym, nigdy nie dopatrzymy w nim banalności, barw błędnych, zużytych. Niezwykła oryginalność fantazyi twórczej na każdym z nich wyryła piętno wybitne, a całość żyje i oddycha nieznaną gdzieindziej atmosferą przyrody pierwotnej. W przyrodzie tej drgają tętna świata wewnętrznego; wieje z niej technie ducha tajemniczego, mistycznego, ducha, którym zjawiska ziemi przemawiają do fantazyi ludów pierwotnych.

Nad wielu pobratymczemi objawami poezyi romantycznej niemieckiej pieśń Goszczyńskiego góruje prawdą, szczerością i gorącym tętnem życia. Stworzyło ją, nie zrozumienie tylko i odczucie sztuczne wierzeń ludu, a serdeczne zbratanie się duszy twórczej z duszą tego ludu. Przyroda ukazuje się w pieśni poety naszego w pierwotnej swej prostocie czystej i fantastyczności, z całą potęgą siły żywiołowej i mistycznej. Goszczyński ją odczuł—nie wymarzył.

W odmiennych zarysach oglądamy naturę w pieśni trzeciego z najwybitniejszych śpiewaków stepu, Bogdana Zaleskiego. Właściwie brak jej wszelkich zarysów, brak plastyczności; rozplywa się ona w barwach tęczy, a głosy jej tworzą melodyę serdeczną, łagodną, często tęskną. „Duch od stepu“ nie powiał na tego śpiewaka, ani głęboką melancholją Malczewskiego, ani grozą Goszczyńskiego; powiał nań dumką serdeczną, marzeniem i tęsknotą. Zamiast głosu sów i puszczyków, rozbrzmiewa pieśń słowika, czarująca, melancholijna, a często nieuchwytna, jak gdyby śpiewak ulatywał wysoko w niebiosy i z tamtąd przysyłał tony piosenki swojej. Koloryt obrazów pogodny, niekiedy tylko lekką chmurką tęsknoty przyćmiony. Wiatr stepowy nie gra pocięte dzikiej pieśni duchów, jest mu „technieniem Bożem“, jest mu „nadpowietrzne łożem, na którym rozbijały“ widzi naturę w fantastycznych barwach światła tęczy.

Poeta patrzy na przyrodę, jakby „okiem niecielesnym“, więcej słucha jej głosów, niż wzrokiem ją obejmuje; słyszy wielką pieśń wspaniałostworzenia, słyszy „w przestrzeni“ „serafińską śpiewną ciszę“, wsłuchuje się w melodyę tej ciszy i marzy. W marzeniu tem obrazy duszy śpiewaczki wiszą na chmurach zachwytu:

„Rozścielają się po drzewie,
„Rosą ścielą się w powiewie.“

Świat cały, przyroda cała „promieni się słowem Bożem“ i „śpiewa wielką epopeję“:

„Miljony światel, cieni—
„Światy w kwiaty—światów dzieje,
„Na kadzidła Panu wieje.“

Przyroda stepów w dumkach Zaleskiego łącznie pieśni i melodyą jej oddycha; rozkołysana jest i śpiewną; przemawia do nas w dźwiękach, nie w obrazach. Dźwięki to swojskie, nie przybiegły z pól romantyzmu obcego, urodziły się w duszy synów Ukrainy i w duszy poety, który tę Ukrainę i lud jej ukochał. Zaleski wyśpiewał nam duszę tego ludu i bratnią jej duszę stepu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

7) Melilla i Nemours.

Zbudziłem się o wpół do 6-ej rano, a raczej zbudził mnie przeciągły ryk świstawki okrętowej, podobny do ryku zarznanego wolu. Przetarłszy zaspane oczy, przekonałem się przedewszystkiem, że już był dzień, widno: przez oknągłe okienko mej kajuty ujrzałem skrawek nieba, a niebo to było turkusowe. A więc pogoda. Jednocześnie zauważyłem, że okręt płynął spokojnie, że nie zataczał się, jak to czynił jeszcze parę godzin temu.

Kiedym wyszedł na pokład, którego pogodnie świecące słońce jeszcze nie zdążyło osuszyć po nocnej burzy, przekonałem się, że nie tylko staliśmy w miejscu, ale staliśmy na kotwicy, o niecały kilometr od brzegu; na brzegu zaś, skalistym i pustynnym, a piaskowego koloru, ujrzałem prozaiczne mury fortecy, ubrane czarnymi działami wielkiego kalibru. Z za murów, które były tego samego piaskowego koloru, co wybrzeża, wyglądało kilkanaście europejskich domów, na które wystarczało rzucić okiem, ażeby się domysleć, że to muszą być koszary wojskowe. Wszystko to, razem wzięte, już przez to samo, że nigdzie nie zieleniło się ani jednym drzewem, ani jednym krzaczkiem, wyglądało strasznie prozaicznie i nudno, nie mówiąc o tem, że był to pejzaż i smutny jednocześnie. Choć oświetlony rannym słońcem, choć przed nim było szafirowe morze, dziwnie gładkie, bez jednej zmarszaki, tak, że cały pejzaż odbijał się w wodzie, jak w lustrzanej szybie, i choć mu za tło służyło przepyszne niebo bez jednej chmurki, od którego się odcinał jaskrawo, mimo to, przypatrując się temu widokowi, miało się takie wrażenie, jakby tu ludzie mieszkali tylko za karę, z musu. Całe wybrzeże, po obu stronach portu, wyglądało jak martwa kamienista pustynia, na której darmo szukał—byś oazy.

— Cóż to za fort? spytałem naszego dziobatego doktora, który był pierwszym człowiekiem, jakiego spotkałem tego ranka.

— Jest to Melilla, forteca Hiszpańska, hiszpański Gibraltar.

— A więc ten ląd, którzy widzimy, to Afryka?

— Tak jest.

I zaczęliśmy mówić o wczorajszej burzy, a raczej o wczorajszym wietrze, i o dzisiejszej pogodzie, która istotnie była arcymilą niespodzianką. „Prawie się wierzyć nie chce—rzekłem—patrzac na to wygładzone morze, iż jeszcze przed kilkoma godzinami tak było rozszierzone.“ „Bo morze, panie, to jak kobieta: ma swoje kaprysy, i nigdy człowiek nie wie, jaką niespodziankę może nam zgotować za godzinę.“ Z kolei zaczęła się rozmowa o wczorajszym obiedzie, który w tej chwili nie znajdował się w żołądkach tych, co go jedli, ale w morzu, i z pewnością bardzo smakował rybem i rekinem... Po chwili, kiedy i kapitan przyłączył się do naszej gawędki, zeszliśmy—na temat dzisiejszej nocy, która była nad wyraz ciężka dla doktora. Jakim, sposobem? Czy i on chorował? Nie, ale za to chorowali wszyscy pasażerowie, a najbardziej chorowały kobiety, które raz po raz wzywały pomocy lekarskiej, choć mogły wiedzieć z góry, że na tę chorobę niema lekarstwa. że trzeba by mieć Chrystusową władzę uciszania wiatru i fal morskich, ażeby w tym wypadku przynieść ulgę. Ale gadaj o tem kobietom! Żadna nie uwierzy! „Jakoż nie spałem całą noc, mówił doktor, bo co chwila mię budzono, co chwila wzywano do kogoś.“ Wszystkim dawał *laudunum* na uspokojenie nerwów. Ze wszystkich kobiet najbardziej choro-

wała pani Stone. Za to jej córki po pierwszym silnym ataku, musiały spać, jak aniołki: one jedno nie radziły się doktora. Mężczyźni także chorowali wszyscy. Między 8-mą a 10-tą okręt był jak jeden szpital choleryczny. Zabrakło miednic...

O 8-ej zadzwoniono na śniadanie. Powoli zaczęli się schodzić wszyscy, a wszyscy byli bledzi, mizerni, postarzały, niewyspani. Mężczyźni wyglądali, jak po przepitej nocy sardanapalskiej, a kobiety, wszystkie bez wyjątku, zbrzydły w ciągu tej nocy. Pani Stone wydała mi się mniej powabną, choćby dla tego tylko, że przyszła upudrowana. Zdaje się, że i jej wielbiciel był tego samego zdania, co ja, choć co prawda, to i on robił także wrażenie, jakby mu nie romansa były w głowie: wprawdzie przypominał Dumasa, ale przypominał go *en laid*, nie *en beau*. Jakoż, choć siedział przy pani Stone, siedział milczący, a kiedy się odzywał do niej, to zdawał się to czynić dla honoru raczej, niż ze szczerzej ochoty. Pan Stone nie zjawił się wcale, bo usnąwszy nad ranem dopiero, spał jeszcze. Dowiedziałem się o tem od jego córek, które, trzymając się jako tako na śniadanie przyszły z szalonym apetytem, co zresztą wszyscy mogli powiedzieć o sobie. Bardzo bledzi byli także nasi małowolni Anglicy-szachiści, którzy na śniadanie przyszli ostatni, a siedli do stołu, nie przywitawszy się z nikim, jak to czynili inni, ani mieszając się do ogólnej rozmowy. Samo się przez się rozumie, że nie mówiono o niczem innem, tylko o wczorajszej burzy, tymi zaś, którzy tę rozmowę ożywiali humorem i dowcipnemi konceptami, byli czterej młodzi Francuzi. I oni wyglądali, „jak potępienicy z Dantejskiego piekła“ (ich własne wyrażenie), ale trzeba było słyszeć, jak opowiadali o różnych „momentach dramatycznych“ i „scenach z miednicami...“ Oni rozruszali całe towarzystwo. Z wyjątkiem dwóch Anglików-szachistów, którzy się nie uśmiechnęli ani razu, nawet wtedy, gdy się śmiał cały stół, wszyscy powoli odzykiwali humor, co ostatecznie przychodziło o tyle łatwiej, że w tej chwili każdy czuł się zdrowym zupełnie...

Około 10-ej wyjechaliśmy z Melilli. Czas był rajski poprostu, niebo włoskie, morze koloru ultramariny, spokojne; słońce, łagodne przyjemnym powiewem morskim, dogrzewało przyjemnie, a nie piekło; w idealnie czystem powietrzu fruwało mnóstwo mew, a że płynęliśmy wzdłuż brzegu, więc i pejzaż zmieniał się nieustannie, co oczywiście zmniejszało jednostajność morskiej podróży. Korzystając z pięknej pogody, całe towarzystwo rozsypało się po pokładzie, gdzie każdy starał się zabawić na swój sposób: jedni, leżąc w wygodnych fotelach, czytali, inni rozmawiali grupkami, inni—co szczególnie dało się powiedzieć o wesołej czwórce Francuzów—flirtowali z damami, inni, rozwaleni na drewnianych ławkach, z założonemi nogami, a z fajeczkami w ustach, oddawali się kontemplacyom, co np. czynili nasi Anglicy-szachiści, a inni wreszcie, do których należała cała rodzina państwa Stone, nasz Dumas i *meine Wenigkeit*, przypatrywali się Arabom.

Jakim Arabom? Zapomniałem wspomnieć, że w Melilli zabrał nasz okręt przeszło 200 arabów, którzy jechali do Oranu, a w tej chwili zajmowali całą przednią połowę pokładu, gdzie się rozlokowali formalnym obozem. Był to oryginalny obrazek rodzajowy, typowy wschodni, bardzo egzotyczny, co nie znaczy, żeby np. był wonny. Wszystko, tylko nie to! Byli to biedni wyrobownicy, jadący na robotę. Ubrani lichy, w brudne flanelowe burnusy, przeważnie boso, z gołemi łydkami, prawie wszyscy mieli głowy ogolone lub ostrzyżone do skóry, a poroskładał się wraz z tłomaczkami swemi, jak barany, jedni przy drugich, tworzyli jedną zbitą żółtowo-brunatną masę. Byli pomiędzy nimi starzy i młodzi, barczyści i wątli, ale nie było przystojnych, choć wszyscy mieli czarne oczy i oliwkową cerą. Był to arabski proletariat, pośród którego najfanatyczniejszy socjalista musiałby chodząc z zatkany nosem... Większość spała, zakrywając głowę, a odkry-

wszy brudne pięty. Mniejszość siedziała bezczynnie, z nogami podwinętymi na sposób wschodni, paląc fajki na długich cybuchach. Niektórzy mieli na głowach czerwone fezy, a tylko trzech czy czterech, widocznie zamożniejszych, było w zawojach. To, żeśmy się przypatrywali im, wpływało na nich o tyle, że się nam przypatrywali również, a niektórzy, młodszy, nawet się uśmiechali do naszych pań, co nam dawało możność podziwiania ich zdrowych zębów.

Przypatrzawszy się im dostatecznie, wróciliśmy na tylną część pokładu, gdzieśmy się wkrótce rozbili na trzy grupy: Pan Stone zeszedł do kajutu, gdzie sobie zamówił ciepłą kąpiel; pani Stone zasiadła w jednym z foteli, do którego nasz Francuz zaraz się przysunął ze swoim fotelem; a ja, razem z mojami panienkami, poszedłem grać na fortepianie. Stosownie do zawartej umowy, najprzód one zagrały na cztery ręce *Sep'tett* Beethovena, poczem ja zacząłem im grać Chopina. Tak upłynęła godzina.

O 12-ej zasiedliśmy do śniadania, do którego obok całego szeregu innych dań była także świeża salata. Rzecz prosta, że wszyscy byli zdziwieni niezmiernie, skąd się wzięła ta świeża salata. Tem większe było zdziwienie powszechne, gdyśmy się dowiedzieli od kapitana, że na okręcie znajdowały się nie tylko dwie krowy, od których do każdego śniadania i podwieczorku mieliśmy mleko i śmietankę „prosto od krowy“, ale znajdował się także ogródek z inspektami, z którego teraz mieliśmy świeżą salata, a jutro — według wszelkiego prawdopodobieństwa — będziemy mieli świeżutkie rzodkiewki. Ale nie koniec na tem! Bo jest i menażerya! „A to jakim sposobem?“ zapytała kilka osób, zdziwionych tem oświadczeniem kapitana. „Tak jest, odrzekł kapitan, mamy i menażeryę, złożoną w tej chwili z trzech baranów (czwartego zjedliśmy onegdaj w Gibraltarze), z kilkudziesięciu królików, które nb. hodujemy na okręcie, kilkunastu par gołębi, które także hodujemy, z kilkunastu kur, które nam codzień znoszą świeże jajka, z czterech wspaniałych kogutów, których pianie chyba musieliście państwo słyszeć, z kilku kaczek i gęsi, które dzisiejszej nocy gdakały przeraźliwie, a o naszym kocie okrętowym, którego państwo znacie wszyscy, nie potrzebuję wspominać. Za to może nie wszyscy wiedzą, że mamy i aquarium, w którym w tej chwili pływa kilkanaście homarów i langustów, i całe mnóstwo najrozmaitszych ryb morskich.“ Słuchając tej informacji kapitana, wszyscy byli zdziwieni niezmiernie, bo były to rzeczy, o których się nawet nie śniło żadnemu z pasażerów, podobnie, jak jest mnóstwo rzeczy na ziemi i niebie, o których się nie śniło filozofom za czasów Hamleta...

Wobec tego, było do przewidzenia, że zaraz po śniadaniu, a nawet przy śniadaniu samem, zrodzi się projekt, ażeby obejrzeć ten okrętowy *Jardin des plantes*, bo ostatecznie co było robić? Podróż okrętem, choć przyjemna w czasie pogody, ma jednak jak wszystkie podróże, jedną wadę: nuży psychicznie, a podróżujący, broniąc się przed tem znużeniem, instynktownie szuka jakiejś rozrywki. Ztąd jedni czytają, drudzy grają w szachy, domino lub karty, inni śpią, inni jedzą co moment, inni piszą listy, a kto może flirtować, flirtuje. Ztąd legenda, że flirt urodził się na Atlantyku, na okrętach pasażerskich, kursujących pomiędzy Ameryką a Europą. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że taka podróż trwa siedm dni, że przez siedm dni nie widzi się nic, tylko morze i niebo, niebo i morze, i że pomiędzy pasażerami zawsze znajduje się kilkanaście młodych kobiet i mężczyzn, to chcąc nie chcąc jest się skłonny do uwierzenia w takie naro-

dziny flirtu. Jest to tem prawdopodobniejsze, że przecież i Wenus narodziła się z morskiej piany (czy z szumowin?). A skoro morze jest matką bogini miłości, to czemużby morze nie miało być matką flirtu? Na pytanie zaś: czemu jest flirt? (pytanie, które było osiłą rozmowy przy czarnej kawie i likierach, a które zadał jeden z czterech Francuzów), odpowiedziałem, że jest to syn *naturalny* Afrodyty, do którego piękna bogini przyznaje się niechętnie, choćby dlatego tylko, że już ma jednego *prawego* syna, Amora. Odpowiedź tu zyskała ogólny aplauz, a że miłość jest zawsze wdzięcznym tematem do rozmowy (o wiele wdzięczniejszym, niż literatura lub pogoda), więc zeszliśmy do ważnej kwestyi z zakresu mitologii greckiej: czyim synem jest Amor? Zdawało by się, że w tej kwestyi nie powinno być dwóch zdań, zważywszy, że Wenus była małżonką Wulkanu. Z tego by wynikało, a przynajmniej wynikać powinno, że Amor jest synem Wulkanu. Tak, ale Wulkan był kulawy, stary i brzydki, a Wenus, jak to wiemy z Homera, była piękna i płocha. Komu, jak jej, zdarzało się mieć także przygody romansowe, jak ta np., o której się dowiadujemy w *Odysei*, albo ta, której bohaterem i ofiarą był piękny Adonis, tego można podejrzewać, że... Długo trwała ożywiona dyskusya na ten temat, aż w końcu stanęło na tem, że czyimkolwiek synem jest flirt, (a byli tacy, którzy przypuszczali, że musi on być synem Afrodyty i Parysa, i zdanie to popierali cytującami z *Iliady*), to w każdym razie jest on najmłodszym synem pięknej bogini... Ostatecznym wnioskiem tej wesołej rozmowy, przy której dużo wypito szartreuzy, był ten, że dałaby się napisać bardzo dowcipna nowella pod tytułem: *Narodzinny Flirtu*. Bohaterką tej nowelli mogła być Venus, która np. w przebraniu pięknej angielskiej *tudy* jedzie ze swym kulawym i starym Wulkanem, przebranym za Anglika, do Ameryki, nudzi się na okręcie, jest spragniona rozrywki, aż w końcu, upatrzwszy sobie jakiegoś młodego i przystojnego oficera, (bo od czasu swej znajomości z Marssem zawsze miała pociąg do wojskowych), zaczyna z nim flirtować... I tak dalej, i tak dalej. Czy nie dobry temat do nowelli?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Kilkanaście kobiet-lekarek wystosowało podania do warszawskiego departamentu lekarskiego z prośbą o mianowanie ich ordynatorami lub

pomocnikami w szpitalach ogólnych, w oddziałach żeńskich. Prośba ta w zasadzie przyjęta została, kandydatki jednak będą musiały poddać się ogólnym przepisom i w razie wakansu stać do konkursów wyznaczonych dla ordynatorów.

— W ministerjum skarbu rosyjskiego otrzymano dużą liczbę prośb od kobiet-buchalerek o posady. Sprawę tę roztrząsano pilnie na obradach specjalnych w ministerjum i uchwalono, że na niektóre posady w kantorach i filiach Banku Państwa: mogą być przyjmowane kobiety.

— Pomiędzy osobami zgłaszającymi się do licytacyi na dostawy miejskie w Warszawie, znalazły się w r. b. dwie kobiety. Jedna z nich podjęła się dostawy wyrobów szmuklerskich dla policji i żandarmerji, druga zaś dostarczać będzie wyrobów powrózniczych na użytek straży ogniowej.

— Magistrat miasta Moguncyi postanowił zaprowadzić w najwyższych klasach szkół ludowych obowiązkową naukę gotowania. W wielkiej sali ustawiono 7 kuchni z całkowitem urządzeniem, przy których dziewczęta w grupach po 6 otrzymują każdego popołudnia praktyczną naukę gotowania, tak, ażeby każda z nich, w ciągu 40 tygodniowego kursu nabrała biegłości we wszystkich robotach kuchennych. Także i zakupna do kuchni uskuteczniają same dziewczęta. Z nauką gotowania połączoną jest nauka towaroznawstwa. Ugotowane potrawy spożywają same „młode kucharki“, przyczem poucza się je o odpowiednim zachowaniu się przy stole, o gustownem ubieraniu półmisków, nakrywaniu stołu i t. p.

— Niema prawie zawodu, w którymby kobiety nie pracowały, w takich nawet które zdają się być przenoszące ich siły i wprost niemożliwe, a jednak! Wedle wiarogodnej statystyki żyją w Niemczech 3 kominiarki, 7 puszkarek, 50 kamieniarek, w lejnarniach dzwonów pracuje kobiet 19, w kotłarniach 147, w kuźniach 379, przy brukowaniu i przy kanałach 309, lekarek jest 36, a zastępy nauczycielek, szwaczek, modniarek i pracujących w przemyśle są nieobliczone.

— W Frankfurcie nad Menem, w gimnazjum Lessinga między 8 kandydatkami do egzaminu dojrzałości znajdowała się panna Luiza Kleemann, która po prywatnem przygotowaniu się, zdała pomyślnie maturę, a jest to wypadek w tem gimnazjum pierwszy po 300 letnim istnieniu zakładu naukowego.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 1 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Pogawędka, przez ?? — Matka, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Kazimierz Gliński. Wróci! Powieść. (dalszy ciąg). — Teatr przez K. Glińskiego. — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Na morzu, przez Ferdynanda Hösieka (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkuś 1. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem. — Sekrety gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава. 26 Ноябрь 1897 г.